

PROLOG

Najpierw był telefon.

Rafał zadzwonił do niej, zaniepokojony jej nieobecnością. Weronika nigdy się nie spóźniała i dotrzymywała słowa; jeśli obiecała, że wróci o dwudziestej, o dziewiętnastej pięćdziesiąt pięć słyszał zgrzyt zamka w drzwiach, a chwilę potem cały korytarz wypełniał się nią: burzą jej miedzianych loków, zapachem trawy po letnim deszczu, światłem uśmiechu i głosem podobnym do brzęku obficie sypiących się małych srebrnych monet. Ale tym razem długo nie odbierała telefonu, a gdy w końcu usłyszał kliknięcie w słuchawce, jego ucho zaatakowała chaotyczna kompozycja pokrzykiwań i ryków syren.

– Halo? Weronika?

Z głośnika telefonu wybrzmiał męski głos, który wymówił tylko jedno słowo:

– Słucham.

– Weronika? – wychrypiał Rafał, czując, jak wewnątrz dłoni, w której trzymał komórkę, natychmiast powilgotniało. – Halo? Weruś, odezwij się. Gdzie jesteście? Co się stało? Coś z Kacprem? Halo, co tam się dzieje?!

Nagle wszystko ucichło, nawet głośne dudnienie jego serca. Umarł z przerażenia. Stał jak wmurowany, ściskając w dłoni, martwy jak on, telefon.

Niedługo później była wizyta.

Minęło tylko pół godziny od chwili, kiedy wszystko w nim zastygło. W progu domu stanęło dwóch policjantów, nieświadomych tego, że będą rozmawiać z żywym trupem. „Nieszczęśnicy” – pomyślał, widząc wyrazy ich twarzy. Rafał był mniej zdenerwowany od nich, a na pewno lepiej nad sobą panował. Jeden z mundurowych, ten wyższy, miał przekazać hiobowe wieści. Nie pierwszy raz starszy aspirant Wojtek Łoziński musiał powiadomić rodzinę o śmierci bliskiej osoby, ale dzisiejsza wizyta należała do tych najtrudniejszych, bo zginęła młoda kobieta i jej dziecko, trzyletni chłopczyk. Dlatego jeszcze na posterunku, w łazience, przeciwiczył zakładanie profesjonalnej maski, wyrażającej troskę, odrobinę współczucia – ale niezbyt wiele, by nie daj Boże, nie zostało uznane za litość – a także wsparcie, zrozumienie i chęć udzielenia wszelkiej możliwej pomocy.

Zapytał, czy rozmówca to Rafał Snarski, poprosił o dowód tożsamości i starając się utrzymać neutralny ton głosu, przekazał:

– Doszło do wypadku. Niestety, mimo szybkiej interwencji służb nie udało się uratować pana małżonki ani synka.

Łoziński podniósł rękę, chcąc dotknąć jego ramienia, ale dłoń trafiła w pustkę. Nie zemdlał, po prostu się odsunął, odruchowo, bezwiednie, automatycznie. Uniknął dotyku. Nie

chciał go, choć powinno mu być obojętne, że ktoś dotyka jego truchła. W końcu jakież to ma znaczenie?

Potem był pogrzeb.

Przyszło mnóstwo ludzi. Całe tłumy.

Bo Weronika była młoda, miała zaledwie trzydzieści cztery lata, bo ładna, miła, mądra, bo studenci ją uwielbiali. Bo zginął jej synek, słodki maluszek, bo wszyscy rodzice przedszkolnych kolegów i koleżanek Kacperka przyszedli go pożegnać. Bo: „Proszę pani, jakie nieszczęście!”, „Matka i dziecko!”, „Straszny wypadek!”, „Musiałam przyjść, chociaż ich nie znam osobiście, ale znałam jego/jej matkę/ojca/siostrę/sąsiadkę, tę Woźniak, która czasami myła u nich okna”. Bo Rafał został sam. Bez nikogo. Bez rodziny, bez żony, bez syna, bez rodzeństwa – „To jedynak, proszę pani!” – bez matki i ojca, ale tego ostatniego tak naprawdę nie miał nigdy. Bo trzeba okazać wsparcie i solidarność. I współczucie. Napełniać go tym współczuciem aż do odruchu wymiotnego, czy chciał, czy nie. Przyszli nawet oni, ci, których nie życzył sobie widzieć. Na szczęście potrafili wtopić się w tłum, by nie zarejestrować ich obecności. Zniknęli wraz z resztą, a on...

Został sam. Wszyscy już poszli, a on stał nad świeżo zasypaną mogiłą, skrywającą dwie urny. Nie chciał pogrzebu, nie chciał mszy i tej całej ceremonii, ale rodzice Weroniki się uparli. Był im to winny, to oni ją wychowali na wspaniałego człowieka, dzięki nim mógł przeżyć najlepsze pięć lat swojego życia u jej boku. Zgodził się więc na pogrzeb w katolickim obrządku, tak samo jak wcześniej przystał na chrzest Kacpra. Stał nad grobem i próbował się dowiedzieć, usłyszeć, co mówi mu martwe serce.

A o co pytał?

Czy będzie tu przychodził.

Nie wiedział, czy tego chce i potrzebuje. Czy jego wizyty na cmentarzu mają jakikolwiek sens? Czy Weronika by tego chciała? Bo jeśli miałby tutaj przychodzić tylko dla siebie, to nie będzie tego robił. Zapłaci komuś, kto zadba o groby, a raczej o jeden wspólny grób, bo tak zdecydowali rodzice Weroniki. Zleci opiekę nad tym miejscem jakiejś miłej starszej kobiecie, która chce sobie dorobić do emerytury. Kręciło się ich kilka pod bramą, niektóre zostawiały karteczki z numerem telefonu na obskurnej tablicy ogłoszeniowej wiszącej tuż przy głównym wejściu. Uczynna pani Irenka czy Wanda będzie dbała o pomnik, przynosiła świeże kwiaty i zapalała znicze, a gdy te się zabrudzą, wypłowieją, popękają od słońca albo mrozu, kupi nowe, piękne, te najdroższe i najbardziej finezyjnie zdobione.

Minęła godzina, a on nadal nie wiedział, czy kiedykolwiek tutaj przyjdzie. Nie miał pojęcia, że przez cały ten czas ktoś na niego czekał. Gdy za bramą cmentarza zobaczył księdza, tego, który prowadził nabożeństwo, pomyślał, że to niepoważne.

– Ksiądz czeka na mnie? – upewnił się, rozglądając od niechcienia na boki, ale prócz nich nikogo nie było w pobliżu.

– Tak, synu.

– Nie mów do mnie synu, ojcze. – Wzgardliwie wydał usta. Już miał odwrócić się na pięcie i odejść, ale nie mógł się powstrzymać i parsknął śmiechem, bo cała sytuacja zdała mu się idiotyczna: on i klecha z wielkim czarnym parasolem, stojący w strugach ulewnego deszczu. – Leje. Wracaj do domu, księżo.

– Niebo płacze. – Ksiądz Franciszek nerwowo przestąpił z nogi na nogę. Okropnie przemókł, w jego oblepionych błotem czarnych trzewikach przelewała się woda, a dół sutanny ciążył jak obszyty kulkami ołowiu. Mimo to postanowił zło-

żyć parasol. Trudno, zmoknie jeszcze bardziej. – Łka nad nami, nad naszą dolą, ale łzy zawsze przynoszą ulgę i oczyszczenie.

– Ksiądz chyba żartuje. Niebo płacze? Powinni się raczej cieszyć, ci wszyscy święci, którzy tam rzekomo rezydują. – Rafał zadarł głowę i przez chwilę wpatrywał się w ciemnoszare chmury, wiszące nad miastem od kilku dni. – Szkoda, że nie spadło.

– Co takiego?

– Szkoda, że to całe pieprzone niebo nie spadło nam na łeb – wyjaśnił, wracając wzrokiem do swojego rozmówcy. – Niebo płacze – prychnął. – Moja Weronika była najlepszym człowiekiem, jakiego znałem. Czemu ci z góry się nie cieszą? Gdzie słońce i tęcza? A może to przeklęte niebo płacze nade mną? Niepotrzebnie, i tak tam nie trafię.

– Skąd wiesz? – Ksiądz Franciszek w ostatniej chwili pokłknął słowo „synu”, czując, że ten zwrot nie pomaga w trudnej rozmowie.

– Bo jestem trupem. – Wskazał na swoją pierś. – Jestem trupem, nie żyję, a zamiast być w niebie, stoję przed tobą, śmieszny człowieku, wierzący w jakieś religijne bzdury. Zaraz powiesz, że prócz nieba jest piekło – zgoda, to bardziej do mnie przemawia. Nawet mógłbym uwierzyć, że właśnie tam trafiłem, ale...

– Ale co?

– Jeśli to piekło – znów się rozejrzał – jesteś w nim ze mną, klecho.

– Posłuchaj...

– Nie – przerwał Rafał. – Nikogo nie będę słuchał. Dość się nagadałeś, człowieku. Gadaj do swoich owieczek, póki żyją. Jak to mówicie? Z Bogiem? – Przesunął dłonią po mokrych włosach, żeby deszcz nie zalewał mu oczu.

– Czemu nie chcesz ze mną porozmawiać? Poczulbyś się lepiej.
– Ksiądz Franciszek wyjął z kieszeni chustkę i przetaił nią czoło.

– Nie. To ksiądz poczulby się lepiej.

– Chciałem...

– Chciales mi pomóc, ale tak naprawdę chciales pomóc sobie, nadać sens swojej obecności na ziemi i funkcji szamana, którą sprawujesz. Niestety, musisz poszukać innego... – Urwał, bezskutecznie szukając odpowiedniego określenia, ponieważ słowo „frajer” jakoś mu nie pasowało.

– Rozmowa przynosi ulgę.

– Dziękuję, nie chcę rozmawiać. Szczęść Boże.

Oddalił się na kilka kroków i nagle sobie coś przypomniał. Odwrócił się i po chwili znów stał przed księdzem. Z kieszeni zupełnie przemoczonego czarnego płaszcza wyjął parę okularów i plastikowy kubek. Oba przedmioty wcisnął w rękę zdumionego mężczyzny.

– To ulubione okulary mojej żony, a ten kubek to siorbacz. Wie ksiądz, co to siorbacz? Taki kubeczek, z którego nie wylewa się sok. Mój syn tak mówił: „Tata, nalej mi soczku do siorbacza”. Wyświadczy mi ksiądz przysługę? – Nie czekając na odpowiedź, kontynuował: – Proszę to im zanieść, położyć na grób, czy jak tam ksiądz uważa. Jedno szkiełko jest pęknięte – dodał. – To podróbka ray-banów. Kupiłem te okulary na wczasach w Bułgarii, dla żartu, bo stać mnie na oryginały, ale Weronika chciała właśnie te. Tylko te nosiła i tylko to po niej zostało, resztę strawił piekielny ogień.

– Ja... – Ksiądz przełknął ślinę.

– Dziękuję.

Teraz mógł już odejść, załatwił wszystko.